NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 4–5 | Styczeń–Luty 1938 | Rok XIII

TREŚĆ ZESZYTU:

Cena 40 gr.

NASZ WIDNOKRĄG

PISMO MŁODZIEŻY LICEUM KRZEMIENIECKIEGO

Zeszyt 4—5 Styczeń-Luty 1937 Rok XI

ZAGADNIENIA NA CZASIE

Poruszane w artykule polemicznym kol. J. D. z II k. Ped., a zamieszczone na łamach 2-go numeru „Naszego Widnokręgu” zagadnienia, powinny nas szczególnie zainteresować. Autor, poruszając szereg kwestyj bardzo ciekawych, aczkolwiek nie nowych, dochodzi do wniosku, że stanęliśmy na rozstajnych drogach i niezdecydowani, niezaradni czekamy... Nie wiemy, w którą stronę kroki swoje mamy skierować, bo znajdujemy się w „sytuacji bez wyjścia“ i wplątani jesteśmy w „konflikt zasadniczy”, z którego któż nas zdoła wyrwać!?..,

Koledze J. D. chodzi o to, aby podać jakieś „koncepcje zaradcze”. Ale zastanówmy się, czy jest z nami aż tak źle. Sądzę, że nie stoimy jeszcze nad brzegiem przepaści. Stoimy coprawda przed życiem—tym, naszym własnym życiem, do którego w niedługim czasie wejdziemy. Jest ważne jak my się do tego życia przygotowujemy. Czy wogóle przygotowujemy się? Czy myślimy nad tym, jaki stosunek wobec niego zajmiemy. Niewątpliwie pracujemy w tym kierunku i jak widać z artykułów polemicznych, które ukazały się w 3-cim numerze „Naszego Widnokręgu” zajmujemy się chociaż teoretycznie naszym życiem przyszłym, jeżeli nie praktycznie. Interesujemy się też tym, co też nas w nim czeka.

Nie ulega wątpliwości, że zdajemy sobie przynajmniej z tego sprawę, że to życie będzie dla nas czymś całkiem nowym i tak odmiennym, że trudno nam będzie, w samych początkach jego w nim się zorientować. Jednak mało jest zdawać sobie z czegoś sprawę, lub znać to coś teoretycznie nie poznawszy, jak dana sprawa wygląda w praktyce. Tak jest i w tym wypadku. Jeżeli my teraz po przez własną pracę nie przygotujemy się do przyszłości to oczywiście wówczas sprawi ona nam moc niespodzianek. Nie daj Boże, aby to pyły niespodzianki przykre.

Chcąc jednak przystąpić do szukania dróg, do przygotowania się w tym kierunku, spójrzmy poza siebie:

Oto młodzież wieku XVII i XVIII: beztroska, rozbawiona,

ciemna. Trafnie określił ówczesną młodzież kol. J. D. w swoim artykule.

Z czasem jednak życie bardzo mocno się zmieniło. Nadszedł smutny okres niewoli Narodu Polskiego. Wszystkie poglądy zmieniają się i widzimy już polską młodzież pracującą nad sprawą Narodową. Wychowywana w zakładach naukowych w duchu rosyjskim sama poczyna dbać o rozwój i piękno języka ojczystego. Z tego okresu wychodzą tak wielcy ludzie na polu literatury i gorący patrioci jak Mickiewicz, Słowacki, Żeromski, Sienkiewicz...

W bezowocnych walkach pod Napoleonem i w powstaniach przelewała młodzież swą krew, ale walczyła już za Ojczyznę i za nią ginęła aż wreszcie przyszło to pokolenie, któremu danym było Polskę z prochów poległych bohaterów podnieść.

A nam danym jest budować gmach stupiętrowy naszej ojczyzny. Praca nasza winna zmierzać w kierunku podniesienia jej potęgi kulturalnej i gospodarczej.

Możemy już w obecnej chwili oddać choć trochę swych usług krajowi. Jako młodzież jeszcze zakładów średnich, możemy pracować w środowiskach dla nas całkiem nowych i nieznanych.

Możemy zetknąć się z życiem tętniącym poza murami szkolnymi, z życiem wsi czy miasta. Wkrótce, należy się spodziewać, że w któreś z tych środowisk wiele z nas pójdzie.

Obecnie nastręczają się nam sposobności wzięcia jakiegokolwiek udziału czynnego w tym życiu. Młodzież licealna ma specjalne warunki potemu. Przez swoje wyjazdy 11-listopadowe w teren i przez wycieczki można trafić do ludzi lub można zainteresować się ich życiem i przyjrzeć się mu dokładniej.

Istnieje również na terenie naszej szkoły organizacja, która swoją działalnością daleko wybiega poza mury szkolne. Członkowie jej pracują na wsi pod Krzemieńcem. Stykają się z młodzieżą wiejską i wśród niej prowadzą właśnie swoją pracę. Praca, jaką właśnie prowadzimy, jest przedewszystkim bardzo pożyteczną dla przyszłych nauczycieli. Tutaj właśnie mają niezwykłą sposobnosć poznania życia ludzi prostych, stanowiących główny dement Narodu.

Jest to tuż jeden z etapów, po przez które możemy się do życia przyszłego przygotować.

„Życie komplikuje się coraz bardziej” to prawda. Coraz to nowe i cięższe obowiązki na nas nakłada. Zasypuje nas całym olbrzymim chaosem zagadnień i myśli, z których my staramy się

jednak wybrać dla nas najcelowsze.

Analizujemy je i później segregujemy. Jedne odrzucamy precz, bo są dla nas szkodliwe, zaś te drugie chowamy skrzętnie do skarbca—umysłu, aby móc je w odpowiedniej chwili zużytkować.

* * *

Nasze życie szkolne jest skomplikowane i wymaga od nas wielkiego zgrania się ze sobą, aby móc w nim pracować. Musi ono postępować skonsolidowanym ruchem. Wszyscy musimy w nim brać udział, aby wynieść z niego liczne korzyści.

Wobec tych „potworów niepojętych“ ustosunkowujemy się w taki sposób, że poprostu przed „potworami“ szkodliwymi ubezpieczamy się całym szeregiem środków zaradczych.

Jak już mówiłem, całe nasze życie szkolne, pozaszkolne i stosunek do życia przyszłego oraz do przejawów życia bieżącego pozaszkolnego, docierającego do nas z szerokiego świata, za pomocą pism, gazet i książek, a nawet ewentualny nasz udział w życiu tym wymaga zsynchronizowania tego wszystkiego w czasie i proporcji—utrzymania w ładzie i porządku. Okoliczności te stwarzają sytuację, która może być rozwiązana jedynie tylko na drodze wprowadzenia w życie regulaminów i przepisów—niekoniecznie pisanych, a mających za zadanie tylko nam życie ułatwić. Inaczej mówiąc, życie wymaga od nas ułożenia się w pewnych „ramkach”, poza które nam wykraczać nie wolno.

Czyż w przeciwnym wypadku moglibyśmy sobie wyobrazić sprawne funkcjonowanie całej naszej społeczności szkolnej, zważywszy najprzód, że tworzymy grupę ludzi, oczywiście wraz z pp. profesorami i służbą, liczącą ok. pół tysiąca osób? — Właściwie potrafilibyśmy sobie je wyobrazić, ale zastanówmy się jakby ono wówczas wyglądało. Gdybyśmy nie byli ujęci w regulaminy i przepisy, czyli w „ramki“, do czego wówczas doszlibyśmy?.

Trzeba zauważyć, że młodzież ma tendencje odśrodkowe, skłonna jest do uchylania się od wszelkich przepisów. Womawianym więc wypadku doszłoby niewątpliwie do takiego rozprzężenia i niesubordynacji—zamętu i chaosu, w którym z całą pewnością wszyscybyśmy się zgubili. Nie można byłoby wówczas liczyć na żadną imprezę, czy powodzenie jakiegoś przedsięwzięcia. A nauka—napewno nie przyszlibyśmy na czas do szkoły, a profesor nie wiedziałby, kiedy ma zacząć lekcję.

Gdybyśmy się jakimkolwink sposobem znaleźli w takim stanie, szukalibyśmy wtenczas napewno jakichś dróg wyjścio-

wych. Dążylibyśmy do zorganizrwania się i ujęcia się w jakieś karby porządku. Wyłania się tutaj zagadninnie w życiu w bardzo różnorodny sposób potraktowane. Mianowicie zagadnienia sposobu ujęcia ludzi pod jedno kierownictwo, nagięcia ich do postępowania według woli jednej osoby, czy też stosownie do regulaminów ułożonych przez samych siebie. Zagadnienia powyższe pochłonęły napewno wiele czasu zastępów polityków i wodzów narodów. Nad najlepszym jego rozwiązaniem pracuje się jeszcze obecnie.

Przez uzgodnienie naszego postępowania i wzajemnego stosunku do siebie, umożliwiamy poprpstu sobie życie.

Przebywamy w murach szkolnych i uczymy się w nich właśnie umiejętności znalezienia się w świecie zewnętrznym—w przyszłym życiu, w które w niedługim czasie wejdziemy. Wiemy, że tam wymagana jest również i to z całą bezwględnością, punktualność i podporządkowanie się regulaminom oraz przepisom. Narzucają one nam sposoby współżycia, a przy tęm wymagają samozaparcia wraz z siłą postanowienia i wytrwania w pracy na powierzonym sobie stanowisku. Uczymy się właśnie teraz naginać naszą wolę do zarządzeń i twardych obowiązków życia.

Stwierdziliśmy, że jest nas wielka gromada, a współżyć ze sobą możemy w dużej mierze dzięki tym „ramkom".

* * *

Niepodobna jest zapomocą przepisów nastawić, na jaki się tylko chce kierunek, naszej myśli. Myśl nasza jest wolna, a mając liczne podstawy, oparte na zdrowym przetrawieniu wiadomości podawanych w gazetach lub pismach, czy zaczerpniętych z książek beletrystycznych, historycznych i bezpośrednio na badaniu autentycznych źródeł historycznych, wyrabiamy i utrwalamy swoje poglądy na życie i świat.

Myślą potrafimy wybiec daleko poza szyby okien szkolnych

Nie możemy utyskiwać, że jesteśmy pozbawieni możności poznania, a szczególnie teoretycznego poznania życia, czy jego objawów i zaznajomienia się z owymi „potworami niepojętymi".

Jak to wygląda w praktyce tego nie wiemy, ale istnieją pola swobodnej dzialalności w terenie przynajmniej nad pewnymi zagadnieniami.

Winniśmy z nich korzystać i szukać powoli i sumiennie nowych.

A. Gargoliński kl. VII gim.

SPÓJRZMY NA SIEBIE.

„Niebo nie pomaga człowiekowi,
który nie chce działać. Sofokles.

W związku z wywołaną dyskusją artykułem kolegi J. D. pragnę wypowiedzieć parę swoich uwag o kwestiach poruszanych przez dysputantów w poprzednim numerze N. W. Zasadniczą sprawą, o którą chodzi, są „ramki", w których zamknięte jest nasze życie oraz przygotowanie nasze do życia—przez szkołę.

Poruszane zagadnienia były omówione dość wyczerpująco, więc nie będę ich powtarzać ani komentować. Chodzi mi o co innego—mianowicie o punkt patrzenia na te sprawy, przyjęty prawie jednakowo przez wszystkich czterech autorów.

Faktem jest nasze nieprzygotowanie do życia, które nas czeka u bram szkoły. Nie mamy pojęcia o zagadnieniach, które ludzie tam rozstrzygają, o problemach, konfliktach i t. d.

Przez przygotowanie do życia toczącego się poza murami szkoły rozumiemy przedewszystkim przygotowanie polityczne, którego brak najbardziej daje się odczuć obecnie wśród naszej młodzieży. Daje się to tym boleśniej odczuć, że jakkolwiek już tempo dzisiejszego życia wogóle bije mocno przyśpieszonym tętnem, to życie polityczne w szczególności pulsuje z niewiarygodną szybkością.

Jeden po drugim przewalają się wypadki o znaczeniu historycznym, zmieniają fronty, następują układy i zdarzenia przegrupowywujące siły w imię czego? walki czy pokoju? Świat idzie wielkimi krokami wciąż naprzód w powodzi codziennych faktów i zdarzeń.

Kto jest winien naszej zupełnej obojętności na te sprawy i co gorsze nieświadomości?

W każdym bądź razie nie szkoła według mnie.

To my jesteśmy winni—powiedzmy sobie otwarcie. Mamy aż nadto wiele sposobności do zapoznania się z tym, co nas interesuje poza murami szkoły—lecz nie chcemy i jesteśmy za leniwi na to, brak nam inicjatywy i co zatem widoczne zainteresowań w tym kierunku. Przecież istnieje czytelnia w szkole, która wcale nie cieszy się zbytnią frekwencją; istnieje biblioteka i czytelnia licealna, w której rzadko można spotkać ucznia, czy uczennicę z Liceum.

Ktoś może mi na to odpowiedzieć, że nie można kształtować swoich poglądów na podstawie pism w naszej czytelni, gdyż są zupełnie jednostronne w rodzaju tylko Gazety Polskiej czy „Na-

rodu i Państwa".

Jest to racja—lecz o czytelni w bibliotece licealnej tego powiedzieć nie można.—Gdyby młodzież okazała zainteresowanie choć dla tych co już są, a pragnęła zapoznać się i z innymi, bardziej prawicowymi, czy lewicowymi wątpię, czy szkoła odmówiłaby wtedy wprowadzenie i tych pism do czytelni dla rozszerzenia naszego poglądu i dla dopomożenia nam w skrystalizowaniu się go w świetle możliwie różnorakim.

Można więc tu mówić jedynie o współpracy szkoły z nami, o jej pomocy w naszym dokształcaniu się w dziedzinie życia, której znajomość obowiązuje każdego inteligentnego człowieka.

Lecz inicjatywa leży przedewszystkiem w naszym ręku, bo nam to powinno w pierwszym rzędzie leżyć na sercu, jakie stanowisko zajmiemy w przyszłości wobec tych wielu zagadnień i sprzecznych ze sobą ideologii. Złożenie tej troski w zupełności na barki szkoły—jak to wynika z rzucenia na nią jedynie odpowiedzialności za istniejący stan rzeczy—uważam za zupełnie błędne. Może mówię zbyt śmiało, lecz mam wrażenie, że szkoła nie mogłaby się wywiązać z tego zadania należycie, gdyż popadłaby w szablon i to rozwijanie się duchowe i umysłowe młodzieży nabierałoby znowu kształtu nowych „ramek" o które nam tak chodzi.

Istniałoby wtedy niebezpieczeństwo zamknięcia w zbytniej jednostronności poglądów lub nawet sprzeczności orientacji, ze względu na różne jednak czasem poglądy naszych wychowawców i profesorów. Młodzież mimowoli straciłaby wiele na samodzielności przemyślenia swobodnego pewnych spraw, gdyż dość łatwo popaść młodym ludziom pod wpływ innych, czy to kolegów, czy starszych.

Dlatego o tym mówię, bo uważam, że najcenniejszym jest ukształtowanie poglądów sobie samemu i zupełnie samodzielnie, gdyż wtedy napewno się nie omylimy i stosownie do naszej indywidualności znajdziemy jedyną i prawdziwą drogę, która nas nie zawiedzie, ponieważ wypływa niejako z naszych właściwości indywidualnych i potrzeb duchowych. Żadna wtedy fałszywa idea nie będzie miała do nas dostępu ani wpływu na nas.

Jako środek do zapoznania się przez młodzież z wszechstronnymi możliwie poglądami, uważałabym obok czytania (zaznaczam, że czytania a nie przeglądania) różnych pism, urządzanie częstych zebrań dyskusyjnych jak to już zaprojektował kol. Sheybal w swoim artykule. Każdy miałby wtedy możność

przekonania się o słuszności swego, czy czyjegoś innego zdania w danej kwestii.

Takie widzę jedynie wyjście z tej sytuacji. Do nas należy popieranie istniejącego stanu rzeczy, gdyż jak sądzę czas najwyższy, abyśmy nabrali więcej odpowiedzialności (w najmniejszym tego słowa znaczeniu) za siebie.

Rola szkoły, jakkolwiek niezmiernie ważna, o znaczeniu nie dającym się porównać z niczym innym w naszym obecnym życiu, kończy się jednak i to—choć może się nam zdawać narazie inaczej—dość prędko.

Zostaniemy sami, bez nikogo, kto będzie nas prowadził za rękę, objaśniał i interpretował lub zmuszał do zastanowienia się nad tym czy owym.

Szkoła jest zjawiskiem pomijającym w naszym życiu, lecz sami z sobą będziemy musieli być zawsze.

Powinniśmy więc wreszcie przeprowadzić rzetelną kontrolę naszych dotychczasowych zainteresowań i zużycie czasu—który tak lekkomyślnie trwonimy.

„Cała wieczność nie jest w stanie nagrodzić straty jednej minuty"—powiedział starożytny poeta.

W związku z kwestią zużycia czasu nasuwa mi się mysl o „ramkach". narzuconych nam przez szkołę, internat, czy nawet dom. Według mnie, nie jest to takim nieszczęściem—za jakie uważa je kol. D. wtłaczającym zupełnie nasze „ja" w szablonowe regulaminy i rozkłady godzin. Może nam to jedynie dobrze zrobić, przyzwyczajając do organizacji życia i planowości każdej pracy, o rzeczywistej wartości czego każdy się z nas przekonał. Ponadto faktem jest, o którym mogę mówić śmiało i z całą pewnością na podstawie kilkuletniego doświadczenia, że nawet ramki obejmujące nasze życie pozaszkolne np. w internacie nie są tak bezwzględne i bezduszne jak się zdaje. Wytyczają one jedynie ogólny rozkład dnia, pozostawiając nam jednak dość swobody w dysponowaniu swoim czasem. Jeżeli naprzykład zamiast uczyć się w danym czasie, mam chęć ogromną pojeździć na nartach czy saneczkach lub ślizgawce, (naturalnie nie o 10 godz. wieczorem) to mogę swobodnie to uczynić bez wywołania konfliktu z czynnikami wychowawczymi. Naturalnie tyczy się to jedynie młodzieży najstarszej, gdyż młodzież młodsza potrzebuje więcej kontroli i opieki, co się samo przez się rozumie ze względu na wiek i brak wyrobienia w dziedzinie organizacji pracy.

Na tym może postaram się skończyć, gdyż na temat poru-

szany przez kol. J. L. kl. VIII w artykule „My, ramki a konflikty", nie zabiorę głosu, ze względu na to, że mam poprostu zamało wiadomości i danych by móc ustalić swoje zdanie w metodach wychowawczych stosowanych lub mogących być stosowanymi względem zagadnień seksualnych, stojących przed dorastającą młodzieżą.

Jakkolwiek zgadzam się z kol. J. L, że takie bezwzględne zakazanie pewnych książek mija się z celem, gdyż pobudza tylko ciekawość i właśnie chęć przeczytania, jednak nie wiem dobrze, w jaki je sposób inny odsunąć od młodzieży. Może przez wskazanie wartości artystycznych innych książek i właśnie na to zwrócenie uwagi młodzieży. Szczera, przyjacielska rada starszego kolegi lub profesora co do wyboru książek zdziała przeważnie więcej niż najsurowszy zakaz.

Nie sądzę, żeby autor miał rację, mówiąc o książkach naukowych, gdyż do tego trzeba pewnego przygotowania czysto naukowego i pewnego poziomu młodzieży wogóle.

Lansowanie więc ich, uważam, też mogłoby się mijać z celem. Wogóle metody musiałyby mieć charakter raczej indywidualny w zastosowaniu do różnych jednostek. Lecz są to sprawy zbyt trudne do rozstrzygania przez nas, gdyż nawet pewne wiadomości z dziedziny psychologii nie wystarczają—tu trzeba poprostu doświadczenia wychowawcy i umiejętności dostosowania metody do indywidualności. Zresztą są to sprawy nie bardzo łączące się z tym o co mi chodzi, mianowicie o zdolność spojrzenia młodzieży świadomie i krytycznie na siebie. Wspomniałam o nich dlatego, że zostały poruszone w wywołanej dyskusji, której przypisuję wielkie znaczenie, gdyż zwróciła uwagę na te problemy, o których się wogóle nie mówiło lub tylko w kółku „przyjacielskim", co mam nadzieję zmusi wreszcie młodzież do zastanowienia się głównie nad sobą, gdyż jak się wyraził Cervantes: „Każdy człowiek jest dziecięciem swoich własnych czynów".

J. W. kl. VII gimn.

INNE GŁOSY DYSKUSYJNE.

Do dyskusji dorzuca swój głos także kol. A. Siemieniakówna z II Kursu w artykule „Gdzie złoty środek?" i mówi m. in.:

„Zdobycze kulturalne mnożą się w szalonym wprost tempie, młodzi winni je sobie przyswoić—tak rozumiany jest postęp. Jeśli dołączy się do tego postulat drugi mianowicie kontraktu z życiem bijącym setkami pulsów tuż obok, niezwykle skomplikowanym,

to obecnie staje się to rzeczą niemożliwą. Pojemność ludzka ma granice.

Kończy stwierdzeniem:

„W każdym razie młodzież winna mieć trochę czasu dla siebie, jest to zresztą prawo rozwoju każdego człowieka".

Kol. Br. Bożenek z kl. VIII, prezes Zjednoczenia Młodzieży L. K., mówi w krótkim artykule:

„Uważam, że szereg bardzo rozmaitych zagadnień życiowych, mających na celu większe przygotowanie człowieka do pracy w jego przyszłym po za szkolnym życiu, może znaleźć rozwiązanie w szkole. Trzeba tylko mieć trochę dobrej woli i życiowego podejścia, a znajdzie się wyjście. Teoretyczna forma zmiany stosunków istniejących jest zawsze ponętną, tylko dla tych ludzi, którzy słowem dalej poszli niż czynem. Zawsze znajdą oni niedomagania, wady urządzeń, nie szukając absolutnie ich usunięcia drogą trudniejszą wymagającą większego nakładu ich sił i pracy."

Należy wyzyskać w większej mierze niż to się dzieje obecnie te możliwości pracy nad wzbogaceniem siebie, jakie istnieją i rozwinąć się jeszcze mogą w układzie zorganizowanym naszego życia szkolnego.

BEZROBOTNY.

Ranek wstał mroźny, lecz wesoły i uśmiechnięty. Zimowe słońce słabo oświecało szerokie, eleganckie dzielnice miasta, chodniki, przysypane świeżym puchem śnieżnym, lśniącym się i skrzącym w jego bladych promieniach.

Na ulicach ruch zwiększał się z każdą niemal chwilą; śpieszyli do pracy swej, do biur zapięci szczelnie urzędnicy, wesoło i w podskokach biegły do szkół roześmiane, szczęśliwe i rozradowane dzieci, z buziami zaróżowionymi od mrozu i wiatru, rozprawiające z ożywieniem o przyjemnościach zimowych: sankach, nartach, łyżwach. Przebiegały, nie patrząc wcale tam, gdzie śmiech radość i beztroska rzadkimi bywają gośćmi: do nędznych suteren, do zatęchłych wilgocią czarnych izdebek bezrobotnych, gdzie jest tak mroźno, jak na dworze. A warto się było tam zatrzymać, warto było rzucić spojrzenie w głąb tych ciemnych, zimowych suteren przez małe, wystające zaledwie nad ziemią okienka, przez które rzadko kiedy przenika jakiś zbłąkany promyk słońca, a zato wszystkimi szparami wdziera się nędza i dokąd coraz gwałtowniej, coraz natarczywiej i nieubłaganiej

wkrada się straszne widmo głodu.

* * *

Gdyby baczny przechodzeń zbliżył się do jednego z tych okienek i usiłował zapuścić swój wzrok do mieszkania bezrobotnego Szymona, to niewątpliwie w pierwszej chwili oczy jego, przyzwyczajone do światła nie potrafiłyby tam nic rozróżnić i dopiero później, oswojony już z panującą tam ciemnością mógłby dostrzeć,że całe to mieszkanko składa się z jednej izdebki, pośrodku której znajduje się sklecony z kilku powyginanych desek krzywy stół, na pół już zapadnięty w obsuwającą się ziemię, stanowiącą podłogę, oraz wielka ława i kulawe krzesło na trzech nogach. Bystrzejszy obserwator dostrzegłby, żę pod ścianą, na nędznym barłogu leży jakaś postać i dosłyszałby może szmer spadających kropel wilgoci, którą przesiąknięta jest cała ta izba.

Ciężka była zima, ciężka szczególnie w mieszkaniach bezrobotnych, którzy żyją tylko nadzieją „na lepsze jutro", nadzieją tak niepewną, a częstokroć tak zwodniczą.

Nie lepiej, niż innym sąsiadom, a może nawet gorzej wiodło się Szymonowi, który, choć robotnikiem był dobrym i pracodawcy byli z niego zadowoleni, razem z innymi stracił pracę wskutek zamknięcia fabryki i od dłuższego już czasu żył w nędzy.

Jeszcze przed paru laty Szymon wraz z rodziną, składającą się z żony i czworga dzieci mieszkał w małym wprawdzie, lecz schludnym i miłym domku na przedmieściu. Przed domem był mały ogródek, w którym rosły bratki i niezapominajki, a pod oknami rezeda i macierzanka. Kwiaty były dumą pani Szymonowej, która je z ogromną troskliwością podlewała i pielęgnowała, mawiając, że nie ma przyjemniejszej pracy i milszego odpoczynku, jak w swoim ogródku. Dzieci były zawsze roześmiane, szczęśliwe, zadowolone, a rodzice patrząc na nie, czuli się z nich dumni. Mieszkanko było bardzo skromnie umeblowane, ale zaciszne i miłe. Szczególnie stary, pamiątkowy fotel, bez którego dzieci nie mogły sobie wprost wyobrazić mieszkania, był czymś w tym rodzaju uświęconego zabytku rodzinnego i stał na honorowym miejscu przy stole. Często wieczorem ojciec, powróciwszy z fabryki, brał, najmłodsze dziecko na kolana, reszta dzieci otaczała fotel, na którym siedział, zbliżała się też zwykle matka i cała rodzina skupiała się razem.

To było szczęście.

A po tym nagle wszystko się zmieniło. Szymon stracił pracę. Matka musiała zarabiać praniem bielizny.

Ojciec chodził teraz smutny, nie palił już, jak dawniej, gotowych papierosów, tylko sam je kręcił i to gorszego gatunku, był milczący, często wychodził z domu na długie godziny i wracał jeszcze smutniejszy. Dzieci nie rozumiały tego wszystkiego, ale widząc, że rodzice są smutni, i one sobie popłakiwały.

Nieraz wieczorem podchodziły do ojca, bawiły się z nim i wtedy oczy jego nabierały dawnego blasku: żartował i śmiał się, jak dawniej, ale niedługo. Potem oczy jego znowu traciły wesołość i posępniał znowu. Dzieci widziały, że rodzice wieczorami coś radzą, coś obliczają, zastanawiają się nad czymś i tak jakoś dziwnie na nie patrzą...

Niedługo po tym zmieniono mieszkanie; trzeba było opuścić dawne, miłe mieszkanko i przenieść się do ciaśniejszego. Później zmieniano je na coraz to mniejsze, znikały też z domu niektóre sprzęty, aż wreszcie z bólem serca trzeba było się rozstać z pamiątkowym fotelem, który był świadkiem tylu przeżytych szczęśliwych chwil. Dzieci spoglądały pytająco to na ojca, to na matkę, ale rodzice starali się unikać ich wzroku, aby nie patrzeć na ich posmutniałe twarzyczki. W końcu nie wytrzymały.

— „Dlaczego to, mamo? Co się stało? Czemu tak jest?"— pytały przez łzy.—„Bo ojciec nie może znaleźć pracy, a moje zarobki nie starczą"—odpowiedziała im. Dzieci starały się powstrzymać cisnące się do ócz łzy i nie pokazywać po sobie smutku. Udawały, że z równym apetytem zajadają suche kawałki chleba i zimne kartofle, jak dawniej smaczne kromki chleba z masłem. Ale to niewiele pomagało. Rodzicom ich zbiedzone i pożółkłe twarzyczki nie dawały chwili spokoju. Bezsenne noce pozostawiły na nich swe ślady—matka miała stale oczy podkrążone, suchy kaszel męczył ją niewymownie, ojciec postarzał się do niepoznania. Często wychodził z domu, szukając wszędzie jakiegokolwiek zarobku, ale jego ponura i zmęczona twarz mówiła zawsze o bezowocności jego starań.

W końcu przyszło to najgorsze. Mieszkali już w ciemnej norze, dzieci chodziły głodne, w lekkich płaszczykach, drżące z zimna. Matka czuła się tak źle, że musiała się położyć. Leżała na swym nędznym barłogu, przykryta tym, czym się dało, kaszląca i jęcząca z cicha. Palić nie było czym, więc dzieci zbijały się w jedną gromadkę, własnym ciałem starając się ogrzać.

Pewnego dnia ojciec, raz objąwszy wzrokiem cały ten smutny obraz, westchnął ciężko i wyszedł na ulicę. Z otwartych drzwi wionęło zimne powietrze i dzieci poczęły popłakiwać cicho. Matka jęczała. Po ścianach spływała wilgoć. Mróz malował małe szybki. Dzieci płakały i wspominały te czasy, kiedy miały ciepłe jedzenie, ogrzane mieszkanie, ciepłe ubranie, kiedy matka była zdrowa i wszyscy byli weseli. Naraz skrzypnęły drzwi. Wszedł ojciec. Dzieci zauważyły, że nie miał na sobie swego zimowego palta, ale za to trzymał w ręku worek z węglem i kilka pakuneczków. Dzieciom zabłysły oczy. Ojciec sam napalił pod kuchnią, ugotował zupę i podał chorej. — „A ty? A dzieci?—spytała oczyma. Skinął głową, na znak, że jest dla wszystkich. Matka jadła i czuła się znacznie pokrzepiona.

Przez parę dni było weselej u Szymonów. Pod kuchnią paliło się, w całej izbie było ciepło, pojawił się znowu duży bochen chleba i gorąca herbata. Dzieci były uradowane.—„Wracają dobre czasy!"—myślały. Ale rodzice wiedzieli, że to tylko chwilowo—co później będzie?

A później rzeczywiście było bardzo źle. Nie było już co sprzedać, ani zastawić. Po tych kilku dniach lepszych, powrót do tych strasznych warunków wydał się jeszcze cięższym. Gdy zabrakło węgla na opał i ciepłej strawy, matka znowu poczuła się gorzej i znowu nie opuszczała swego łoża.

Czasem 13-toletni Witek wychodził z mieszkania i włóczył się po ulicach, wszędzie pytając o jakąkolwiek pracę, ale wszędzie go zbywano niczem. Nieraz tak zmęczony tym wałęsaniem się bez celu, przystawał przed wspaniałymi wystawami i podziwiał je tak długo, aż go ktoś nie odpędził, albo gdy tak zmarzł, że nie mógł już stać dłużej.Ruszał wtedy dalej, skulony i zziębnięty, przypatrując się swym niedawnym kolegom szkolnym, którzy go nie poznawali, albo udawali, że nie poznają. Zazdrościł im wtedy ich szczęścia, ich beztroski i porównując ich eleganckie ubrania ze swoimi nędznymi łachmanami, zadawał sobie pytanie; „Dlaczego"? Czasem odwracał się i, śledząc ich wzrokiem, mimowoli, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, szedł za nimi. Ale raz uświadomił sobie, że mogą go wziąć za żebraka—i krew uderzyła mu do głowy. On miałby żebrać?!—on syn uczciwego robotnika!

Od tej chwili omijał zawsze tę ulicę, na której przyszła mu ta straszna myśl do głowy.

Po mimo mrozu nie lubił wracać do domu, a właściwie do

nędznej, czarnej izdebki. Bo i cóż go tam czekał za widok? Matka jęcząca na swym barłogu, ojciec zrozpaczony, gromadka głodnego rodzeństwa—widok, tak dobrze mu, niestety, znany!

A matka czuła się coraz gorzej, coraz gorzej i do jej bólu fizycznego przyczyniało się to straszne cierpienie moralne — ta okropna świadomość, że jej dzieci są głodne, a ona chce i nie może im dać tego, czego potrzebują.

* * *

Pewnego razu syn sąsiada przyniósł radosną wieść— „Wyobraźcie sobie—mówił gorączkowo — Państwo zainteresowało się bezrobotnymi i podobno będzie specjalna zbiórka i wszyscy ci, co mają zarobek, złożą jego część na „Pomoc Zimową“, (bo tak to się nazywa) i za te pieniądze kupi sie kartofli i chleba i węgla i rozdzieli się to między bezrobotnych. Wszyscy dostaną, tylko trzeba się zarejestrować”...—„To byłoby cudowne, tylko czy to prawda?“—przerwał Witek, spoglądając kolejno na wszystkich obecnych. Dzieci z tego wszystkiego zrozumiały tyle, że ktoś chce im pomóc i zaczęły zasypywać przybyłego pytaniami, na które ten z resztą nie umiał dać odpowiedzi. Matka uniosła się nieco na swym posłaniu i z natężeniem wpatrywała się w twarz ojca, jakby chcąc z niej wyczytać co o tym myśli. Ale ojciec minę miał niezdecydowaną i można było z niej wyczytać łatwo powątpiewanie w skuteczność tych wysiłków społeczeństwa. Wreszcie, jakby chcąc położyć kres wszelkim domysłom, rzekł: „Chodź Witek, pójdziemy się dowiedzieć, co o tym myślą inni”. Wyszli.

Po dwóch godzinach wrócili, przynosząc wieść o tym, że to nie są tylko czcze pogłoski, że rzeczywiście taka Pomoc Zimowa będzie i potrwa przez całą zimę aż do kwietnia.

W czasie następnych kilku dni to ojciec, to Witek chodzili zasięgnąć języka. Z każdej takiej wędrówki po znajomych przynosili coraz to lepsze wieści. To, że zbiórka już się zaczęła, że wyniki są zadowalające, że coraz więcej ludzi przyłącza się do ofiarodawców, że wywieszone ogromne afisze z napisem: „Gorące serca zwalczą mróz”, znalazły zrozumienie u społeczeństwa —nawet górnicy z pewnego szybu ofiarowali swój całodzienny zarobek na Pomoc Zimową, wreszcie, że rozdawanie zacznie się na pewno już w tym tygodniu. Więc chociaż mróz i głód dawał się im dobrze we znaki nastrój, tak u Szymonów jak i u innych sąsiadów-bezrobotnych był znacznie lepszy.

Nareszcie po kilku jeszcze ciężkich dniach oczekiwania wśród licznej rzeszy bezrobotnych przeleciała radosna wieść: Jutro Pomoc Zimowa zacznie działać! Jutro zacznie się rozdawanie! Ojciec dowiedziawszy się o tym, pośpieszył do domu, aby chorej żonie i dzieciom opowiedzieć radosną nowinę.

Dzieci nieposiadały się z radości, matka jednak tylko westchnęła, gdy ojciec dnia następnego w oznaczonym czasie zabierał się do wyjścia. A i on również nie był tak zadowolonym, jakby to można było przypuszczać i w miarę zbliżania się do celu kroki jego stawały się cięższe i powolniejsze, w końcu przystanął zupełnie i dopiero po upływie kilku minut zdecydował się wejść do wnętrza. Nieśmiało zbliżył się z innymi do rozdającego urzędnika, który zdziwił się niemało, ujrzawszy nachmurzoną twarz Szymona w chwili, gdy wyciągał rękę—„Cóżto, nie jesteście zadowoleni"?—zagadnął go. Szymon miął wyszarzaną czapczynę w ręku—„Bo to, proszę pana"—wyjąkał czerwieniąc się, jak dziecko—„ciężka rzecz dla uczciwego robotnika przyjmować... ten..., tą..."—tu połknął coś w gardle, to ostatnie słowo nie chciało mu przejść przez usta i, wymamrotawszy niewyraźnie coś, co miało oznaczać „jałmużnę", zaczerwienił się jeszcze bardziej.

Urzędnik zdjął okulary, przetarł je raz i drugi, jakby chcąc mu się lepiej przypatrzyć.—„Więc o to wam chodzi!"—rzekł. Szymon, zmieszany, nie wiedział co zrobić ze sobą. Wreszcie „tamten" odezwał się jakimś innym głosem:—„Rozumiem was. Rozumiem doskonale... Ale trudno—nie wasza to wina, że nie macie pracy. A ten zasiłek,"—podkreślił to słowo—„który wam dajemy, to nie jałmużna"—Szymon spojrzał z wyczekiwaniem w oczach—„Nie to nie jałmużna"—ciągnął tamten dalej—„Ci, co dają nie dają jałmużny. Nie robią tego z łaski. To ich obowiązek, to nasz obowiązek, nas wszystkich, dopomóc wam w waszym ciężkim położeniu..."—I tak jeszcze mówił dalej, a gdy Szymon wyszedł znowu na ulicę, mniej się czuł upokorzony, niż poprzednio.

Tego dnia od dłuższego już czasu w mieszkaniu panowało miłe ciepło, bo ogień pod kuchnią było czym podsycać, w garnku gotowały się kartofle, woda na herbatę syczała i bulgotała wesoło, a chleb, leżący na stole zmniejszał się szybko. W izbie zapanował radosny niemal nastrój. Maleńkie szybki odmarzły, wszędzie uczyniło sią jaśniej jakby i weselej. Oczy ojca przybrały znowu swój naturalny blask, kiedy, siedząc na jedynym krześle, otoczony rozradowaną dzieciarnią, bawił sie po dawnemu ze

swymi dziećmi, których wesołe towarzyczki sprawiały mu niewymowną radość. Zabawom tym przyglądała się z uśmiechem matka, na którą ten widok podziałał lepiej, niż wszystkie przyjmowane poprzednio lekarstwa.

Podczas następnych tygodni ojciec regularnie otrzymywał zasiłek, w mieszkaniu często słychać było wesołe wybuchy śmiechu. Ojciec zmienił się tak, że trudno w nim było teraz poznać tego samego człowieka, który przed kilkoma jeszcze tygodniami taki był ponury; teraz żartował i śmiał się, jak dawniej. Matka z dnia na dzień czuła się lepiej; krzątała się po izbie, by nadać jej możliwie jak najlepszy wygląd. Wszystko w ich życiu zdawało się zmieniać na lepsze, zdawały się powracać dawne, dobre czasy; to wszystko, co minęło, zdawało się gdzieś oddalać na zawsze, a w pamięci dzieci było jedynie jakimś strasznym, koszmarnym snem, który na szczęście już minął.

Spokojnie i w pozornej beztrosce płynęły dni i tygodnie. Zima miała się już ku końcowi, zbliżał się kwiecień, którego początek oznaczał koniec Pomocy Zimowej. Im bliżej było do tego terminu, tym bardziej zamyślonym stawał się ojciec. Nieraz podczas wesołej zabawy z dziećmi milknął nagle i długo i uporczywie wpatrywał się w jakiś przedmiot, choć widać było, że spojrzenie jego nie zatrzymuje się na nim, tylko błądzi gdzieś dalej, poza ciasne ściany małej izdebki, chcąc przeniknąć nieznaną i niepewną przyszłość. Niewesołe musiały być te myśli, bo najczęściej kończył je ciężkim westchnieniem. Dzieci nie rozumiały, dlaczego rodzice są tacy zamyśleni i wciąż liczą dni do kwietnia, zamieniając czasem między sobą dziwne i dużo mówiące spojrzenia.

Raz wieczorem, kiedy, jak zwykle cała rodzina zgromadziła się przy stole i przy migotliwym świetle lampki naftowej gawędzono z ożywieniem, ojciec oznajmił wszystkim radosną nowinę, że spodziewa się w tych dniach dostać pracę. Matka i Witek, jak zelektryzowani omal nie podskoczyli na swych miejscach, słysząc to i jęli czymprędzej wypytywać ojca, co to za praca i czy na pewno ją dostanie. Ojciec począł opowiadać o tym, że jego dawny chlebodawca otwiera teraz nową fabrykę i on, jako dobry robotnik, spodziewa się w niej znaleźć zatrudnienie.

W tym miejscu przerwała ojcu 4-letnia Marysia, która dotąd, jak się zdawało, nie zwracała żadnej uwagi na to, co mówią starsi i zajęta była jedynie pakowaniem do swej buzi coraz to nowych porcji chleba. Zarzuciwszy obie rączki ojcu na szyję, wymówiła

z powagą, godną swej czteroletniej osoby:

—„A ja ci mówię, tatusiu, otwórz sobie własną fabrykę, to zawsze będziesz miał pracę!”— Na te słowa wszyscy odpowiedzieli jednogłośnym wybuchem śmiechu. Ojciec jednak, widząc złożoną już w podkówkę buzię małej, pogładził swą szorstką, spracowaną dłonią jej jasne włoski i siląc się na powagę, odrzekł:

—„Widzisz, Marysiu, nie mogę tego zrobić, nie mogę“...—

Te słowa ojca „nie mogę", wywołały w głowie Witka całą burzę myśli. Przypominał sobie kolejno wszystkie wypadki ubiegłej zimy, gdy tak bardzo pragnął się uczyć, chodzić do szkoły, jak inni koledzy, być takim ubranym i sytym, jak oni...

Na wszystko znajdował jedyną odpowiedź—„nie mogę” i poraz setny zadawał sobie pytanie

—Dlaczego?

Stef. Ch. kl. Ia.

ULICZNIK.

Pierwszy raz ujrzałem go wieczorem na ulicy Kopernika. Stał w cieniu pod murem jakiegoś domu i przy pomocy zębów zmniejszał systematycznie dużą pajdę czarnego, jak boża ziemia razowca. Widocznie był głodny, bo jadł prędko ze smakiem. Na piętrze ktoś uderzył w klawisze pianina. Przez otwarte okna popłynęły żałobne dzwięki „Reguiem“ Mozarta, a później preludium Chopina. Snać przy fortepianie siedział ktoś bardzo smutny. Chłopak zapomniał o posiłku. Ręka, którą niósł chleb do ust, zatrzymała się i zastygła w bezruchu. Oparł głowę o mur i słuchał.

Po chwili z oczu jego wypłynęły dwie duże, jak groch łzy, stoczyły się zwolna po policzku pozostawiając po sobie mokry, błyszczący w świetle latarni ślad—i spadły na niedojedzoną kromkę chleba, który wnet wchłonął je chciwie w siebie, jak gąbka.

Zainteresowały mnie jego oczy. Niebieskie, duże, głębokie, jak lazurowa omglona toń, marzące. Stanąłem przed nim. Chciałem go zapytać, czemu płacze—chciałem go pocieszyć—ukoić w żalu ale jego oczy nie widziały mnie. Patrzyły się gdzieś daleko w uroczną przestrzeń... On błądził w tej chwili w krainie niepojętej przez rozum.

Nie rzekłem nic. Odszedłem cicho.

* * *

Byłem w sklepie. Kupowałem.

Czekając aż subiekt załatwi wcześniejszych klientów rozglądałem się po sklepie. Zatrzymałem dłużej swój wzrok na oknie wystawowym, gdzie stało kilka doniczek rozkwitłych przepysznie azalii. Drgnąłem. Za szybą ujrzałem jego oczy, lecz inne, jak wówczas.

Jasne, szczęśliwe, roześmiane radośnie w jakiejś błogiej ekstazie.

Prześliczne oczy, podobne do rozkwitłego lnu, ocienione długimi rzęsami o złocistym odcieniu. Wyszedłem i stanąłem przed witryną.

Ulicznik z umorusaną twarzą, w mocno zeszarganej garderobie, nie odrywał oczu od kwiatów.

— Jakie one piękne, jakie piękne—szeptał do siebie w zachwycie.

Ulicą sunęły niezliczone tłumy—z pośpiechem lub wolno.

Jakieś dwie panienki z fantazyjnie ondulowanymi włosami podejrzanego blondu i z pomalowanymi na czarno brwiami zatrzymały się na chwilę przed oknem.

— Patrz, jaki śliczny sweter! Widzisz—ten ażurowy seledynowego koloru.

— Rzeczywiście śliczny. Ciekawa-m, ile kosztuje.

— O, tam jest kartka z wystawioną ceną. Zobacz.

— Cóż, kiedy te kwiaty zasłaniają.

— I poco one w tym oknie, przecież to nie kwieciarnia.

— Trzeba jednak przyznać, że są ładne...

— Niezbyt—odrzekła druga, odymając wzgardliwie wargi— Widziałaś moje geranie... Albo oleandry. Widziałaś? To ci kwiaty. A te... w takich brzydkich wazonach.

Ulicznik odwrócił się i spojrzał na nie takim wzrokiem który przeszywał nawskroś.

Chłopięce, przejrzyste spojrzenie zaiskrzyło się dziwnie, uczuciem się wzgardy przyćmiło.

Dziecinne a zdawało się przepaście nieba, ziemi i serca przenika.

* * *

Zawsze miłym dla mnie jest wspomnienie tego półciemnego pokoiku na poddaszu przy ul. Snopkowskiej tuż obok Państw. Szkoły Technicznej, gdzie mieszkałem razem ze Stachem Ludar-

skim, subiektem z księgarni starego Binderbucha. Piękne to było życie.

Mieszkaliśmy tam niedługo—zaledwie rok nie cały, lecz ileż w tym czasie przeżyliśmy. Tam zapalały się nasze serca młodzieńczym entuzjazmem, tam budziły się w nas najzuchwalsze myśli, porywy, kształtowały się poglądy, rodziły się dziwne chęci, nieokreślone tęsknoty, ideały...

Nieraz powróciwszy po pracy do domu on z księgarni, ja z drukarni, przez noc całą roztrząsaliśmy nurtujące nas kwestie, wypijając mnóstwo herbaty. Rozwiązywaliśmy najtrudniejsze dylematy polityczne, społeczne, ekonomiczne, przebudowując cały świat od podstaw.

Dziwny bowiem był to człowiek ten Ludarski.

* * *

Pewnego razu przybłąkał się do nas jakiś bezdomny pies. Brudny, wychudzony bez rasy. Przyczepił się do nas na ulicy i przyszedł za nami do domu. Było to akurat w dniu imienin Stacha.

— Niech zostanie z nami,—rzekł—może to jest dla mnie podarunek imieninowy od Boga. Wymyjemy, wyczyścimy go i będziemy mieli przyjaciela.

Nazwaliśmy go Darem. Był bardzo mądry choć nie pochodził z rasy szlachetnej.

Niejeden człowiek mógłby mu pozazdrościć jego inteligencji. W krótkim czasie polubiliśmy go, a on przywiązał się do nas swym psim serduszkiem, jak najwierniejsza kochanka.

Aż pewnego dnia przed samymi świętami Bożego Narodzenia, powróciwszy o 19 do domu, nie zastaliśmy Dara jak zwykle na jego legowisku w przedpokoju. Ogarnął nas niepokój. Pocieszaliśmy siebie nawzajem przypuszczeniami, że gdzieś się musiał zabłąkać (wiadomo, jak pies) i, że nazajutrz powróci napewno. Tymczasem zrobił nam zawód i nie wrócił. Nie było go rano gdy wychodziliśmy do swoich zajęć, nie było o drugiej gdy przyszliśmy na obiad. Była wigilia. Popołudnie mieliśmy wolne od pracy. Obiadu nie jedliśmy, choć głód nam dotkliwie dokuczał. Czekaliśmy do wieczerzy wigilijnej, ażeby, jak nam powiedziała gospodyni, za jednym przysiadem zjeść kolację z obiadem, kolację składającą się—aż z dwunastu potraw.

Zabraliśmy się do strojenia choinki, którą zgodnie z tradycją chcieliśmy mieć u siebie, jak wszyscy porządni chrześcijanie.

Po jakimś czasie Stach ubrał się do wyjścia.

— Boli mnie głowa—rzekł—przejdę się trochę.

— To pewnie dlatego, że jesteś głodny — odezwałem się.— Kup sobie coś do zjedzenia.

— E... chyba nie. Na głód jestem wytrzymały. To tak coś... Pa!...

— Prędko wrócisz?

— Za godzinę. Może gdzie zobaczę Dara.

Uśmiechnąłem się. Tylko dlatego z pewnością wyszedł, Ckliło mu się trochę za poczciwym psiskiem.

* * *

Czy tak się głęboko zadumałem, czy zasnąłem — nie wiem. W każdym razie nie słyszałem ani kroków na schodach, ani skrzypnięcia drzwi. Ocknąłem się dopiero, gdy Stach silnie szarpnął mnie za ramię. Otworzyłem oczy. W pokoju panował szary zmierzch. Za Stachem stała jakaś postać ukryta w cieniu. Zapaliłem światło. Poznałem. Był to mój chłopak z ulicy. Stał przy drzwiach mały, zziębnięty, mizerny, w jakichś nieprawdopodobnie dużych inexprymable, w wytartym, ciasnym kabaciku i w straszliwie podartych trzewikach, pozwiązywanych sznurami, ażeby się całkiem nie rozleciały. W rękach trzymał czapkę,—dobrą jeszcze dżokejkę, którą miął zmieszany, utkwiwszy we mnie swój przejrzysty, zalękniony wzrok.

Spojrzałem pytająco na Stacha.

— To zamiast Dara,—rzekł — Nazywa się Michaś, musimy się nim zaopiekować, nie ma nikogo bliskiego na świecie.

Po paru godzinach, spożywszy sutą wigilijną kolację (szkoda, że wigilia jest tylko jedna w roku) ułożyliśmy Michasia w ciepłej pościeli, przyszykowanej przez nas na sofce.

Wkrótce zasnął mocno, jak suseł.

Wtedy Stach opowiedział mi historię swojego poznania się z małym ulicznikiem.

— Poszedłem do kościoła—zaczął.—Bardzo rzadko tam chodzę, ale dziś tak mnie jakoś pociągnęło, gdy przechodziłem obok, więc wstąpiłem na chwilę. Czasami znajduję w świątyni spokój i jakieś dziwne ukojenie. Nie było prawie nikogo. Gdzieś tylko w kącie klęczało parę starych bab z różańcami w ręku. Wychodząc zauważyłem w kruchcie Michasia, jak rzucał do puszki, nad którą wisiała wypisana sentencja: „Datki dla sierot" jakiś papier. Zobaczywszy mnie zmieszał się i prędko wyszedł.

To mnie zaintrygowało. Z otworu puszki wystawał kawałeczek białej kartki. Wyciągnąłem ją.

Był to list do Panny Marii z prośbą o pomoc.

Oto ten—przeczytaj go.

Podał mi kawałek złożonego świstka. Była to kratkowana kartka z kajetu na której dużymi, niezdarnymi literami stały wypisane te słowa:

„Najświętsza Matko, Pocieszycielko strapionych!

Jestem sierotą. Nie mam ni ojca, ni matki ani nikogo na świecie. Nie mam swojego pokoju gdzie bym mieszkał, nie mam swego łóżka gdzie bym sypiał. Sypiam, gdzie się da, a najczęściej w klatkach schodowych kamiennic, pod drzwiami mieszkań wielkich panów, ale źli stróże i stamtąd mnie wypędzają, bo mówią, że mogę coś zwędzić. Może Matka Najświętsza zlituje się nademną i da mi jakąś pomoc, bo i jeść nie mam co, a żywię się tym, co mi dadzą dobrzy ludzie i tym, co wygrzebię w śmietnikach.

Michaś.

List ten nasunął mi moc refleksyj, ale Stach nie dał mi czasu na rozważania.

— Przeczytawszy te słowa—ciągnął po chwili dalej dopędziłem chłopaka i przyprowadziłem go do domu. Powiedziałem mu, że przysyła mnie Matka Boska, ażebym nim się zaopiekował. Uwierzył mi. To jeszcze prawie dziecko. Postaramy się umieścić go w jakimś sierocińcu.

Umilkł. Przez jakiś czas trwała głęboka cisza przerywana jedynie chrapianiem Michasia.

Stach spojrzał na jego jasne, rozrzucone w nieładzie na poduszce włosy i jego szlachetne rysy rozjaśnił jakiś uśmiech, jakby zadowolenia ze spełnionego uczynku, a jednek czegoś dziwnie smutny.

Po chwili odezwał się znowu:

— Kiedyś i ja byłem takim ulicznikiem. Byłem zdeprawowanym, zepsutym chłopcem. Ja listów do Matki Boskiej nie pisałem. Kradłem, co się dało. Pamiętam raz w tramwaju wyciągałem w ścisku jakiejś pani torebkę. Nagle uczułem silne ściśnięcie za ramię, jakby kleszczami. Omal nie krzyknąłem z bólu. Odwróciłem się. Za mną stał brodaty pan o dobrodusznej, jowialnej twarzy i groźnie patrzył się na mnie. Nie wiem czemu ale w pierwszej chwili pomyślałem, że to musi być Chrystus, o którym mało co słyszałem, a widziałem na świętych obrazkach. Był to Hebda, późniejszy mój dobroczyńca i opiekun. Zaopiekował się mną —ulicznikiem—jak własnym synem. Posłał mnie do szkół, wychował, zrobił ze mnie człowieka. Dobry, poczciwy, stary Hebda.

Paweł Hall b. w. L. K.

JAKO WIDZ...

Dnia 20.XII. 36 r. w sali Kolumnowej odbyła się „choinka“ dla 150 dzieci bezrobotnych— urządzona staraniem młodzieży Gimnazjum L. K.

...Dobiega g. 3 p.p. U drzwi wejściowych tłoczą się małe, wychudzone, biedne, czasami i obdarte dzieci;—za nimi tłum matek. Zniecierpliwione rączki podają bezpłatne bilety, a oczy biegają niespokojnie. Jakaś malutka dziewczynka o anemicznej twarzyczce i dużych oczach spogląda na mnie wahająco i bojaźliwie:

— Dlaczego nie wchodzisz? pytam.

—Nie vpuszczą, proszę pani, nie mam biletu—cicho szepcze i spogląda na mnie prosząco

Robi mi się przykro,—wpuścić bez biletu,—może zabraknąć podarunków,—odmówić?—...mój Boże,—jak odmówić biednemu dziecku?

Decyduję się szybko;—wpycham dziecko do sali, biorę za rączkę i prowadzę ku choince.

Tym czasem dzieci nadchodzi coraz więcej. Niektóre nieośmielone lgną do matek, mając oczy utkwione w ładnie ubranej, dużej, jasnej choince, inne rezolutnie kręcą się wokół niej i z żywymi gestami coś sobie mówią. Stoję z ubocza i obserwuję. Na krzesłach siedzą matki, obładowane stosem podartych, powycieranych płaszczyków, chustek i czymś co przypomina szalik. Po twarzach ich przebiega od czasu do czasu uśmiech, rozjaśniający je na chwilę,—promień ciepłego uczucia:—w oczach tli się rozczulenie połączone z cicha radością. Te matki biedne, sterane walką o kawał suchego chleba dla swoich dzieci, wciąż w drodze o „nieznane jutro”, nie mają czasu na pieszczoty, a może szczerze i bezstronnie przyznajmy i—ochoty. Dzieci, to często nie „pociechy“ lecz istoty o smutnych, pytających oczach... „czy będzie dzisiaj obiad?“ to jakby wyrzut sumienia i skarga żałosna. Jednak w głębi macierzyńskiego serca, nurtuje miłość, która rodzi ból, energię, zaparcie się siebie, urabia człowieka—maszynę od rana do nocy piorącą brudną bieliznę lub szorującą podłogi. Zmęczenie fizyczne obezwładniające członki zwala z nóg, usposabia zgryźliwie, rozstaja nerwy,—i nie ma się chęci na cieplejsze słowo, na mękie przesunięcie ręką po płowej czuprynce dziecka;...

biedne matki wyrobnice...

Dziś jednak na twarze ich wybiega tkliwy uśmiech, skoczne tony krakowiaka, połyskująca choinka i wesołe postacie kręcące się wokół niej, każą zapomnieć o wszystkim—myśleć przez chwilę inaczej.

Dzieci są rozbawione:—kilka kół okrążających choinkę obraca się coraz chyżej, coraz żwawiej.

Raptem drzwi się otwierają, wchodzi Św. „Mikołaj". W ręku trzyma dużą u góry zakręconą laskę, za nim niosą olbrzymi kosz z różnobarwnymi papierowymi woreczkami. Po jednej stronie leżą w koszu pakunki w białym opakowaniu,—to książki dla starszych dzieci. „Św. Mikołaj" jest osamotniony, bo jak później z jego słów dowiedzieliśmy się, dwaj aniołkowie przebywszy pół drogi w tak słotną pogodę dostały silnego kataru i zmuszone były wrócić zpowrotem do nieba.

„Św. Mikołaj" bierze do pomocy dwie starsze uczennice i rozdaje podarunki. Ścisk wielki. Dzieci starają sie jak najszybciej dostać słodycze, chyba się obawiają, że nie wystarczy.

Z kolei podchodzi mały chłopczyna i prosi o książkę.

— Umiesz czytać? pytamy.

— Jestem w czwartej klasie i bardzo lubię książki,—odpowiada nieśmiało.

Oczywiście dajemy z chęcią.

Rzucam okiem na odchodzące z upominkami dzieci; przyciskają one mocno, jak skarb jaki, barwny woreczek ze słodyczami i biegną ku matkom. Tam rozpakowują szybko, szybko i wydostają z papierowego opakowania, orzechy, cukierki, jabłka, —czasem chałwę.

I w tym momencie chciałabym, by wszystkie koleżarki i koledzy zobaczyli to zdziwienie, radość a nawet podziw, jaki się malował na twarzyczkach biednych maleństw na widok kilku czekoladowych cukierków i innych łakoci, które my, bez własnego „uszczerbku" im ofiarowaliśmy.

Podarunki rozdane. Za chwilę znów płyną tany wesołego lecz spokojnego walca; tworzą się koła, ...pewien harmonijny, określony ruch. Mija godzina... zegar wybija piątą..., pora wracać do domu. Zbieramy dzieci w jeden koniec sali i zaczynamy najpopularniejszą polską kolendę: „Wśród nowej ciszy"..., prawie wszystkie dzieci śpiewają; w każdej postaci znać wielkie wprost „niedziecięce skupienie i powagę.

Na zakończenie śpiewamy „Pójdzmy wszyscy do stajenki"...

Dzieci zaczynają wychodzić. Ze zdumieniem stwierdzam, że niektóre maleństwa płaczą;—podchodzę i pytam o powód smutku;—matki odpowiadają grzecznie z uśmiechem:

...A, nie chcą iść do domu, proszę panienki, tak im się tutaj podobało,... osobliwie choinka. Bardzo dziękujemy za tych kilka miłych chwil...

Czuję, że czerwienieję, nie wiem nawet dlaczego, czy z radości, czy też z zawstydzenia, że za odrobinę naszej pracy tak nam dziękują.

Wśród miłych „Bóg zapłać", — dziękujemy... dowidzenia... sala powoli się opróżnia.

Koledzy i koleżanki, po świętach będzie zbiórka starej odzieży dla najbiedniejszych dzieci, niech-że nie zbraknie naszego współdziałania, naszej pracy. Niech nie będzie takiej „wyjątkowej" klasy, której nie chcę wymieniać, a która w urządzaniu „naszej choinki" nie brała prawie żadnego udziału. Nie przechodźmy obojętnie koło tej sprawy;—jedynie trochę dobrej woli i chęci, a spełnimy swój obowiązek.

R. K. kl. VIII. gimn.

ZASTANÓWMY SIĘ.

Miasto stroiło się...

Za kilka zaledwie godzin „Stary Rok" miał stać się mitem. Złe strony Jego panowania miały być powtarzane przez wieki całe—dobre .. zapomniane.

„Rok Stary" to już przeszłość, nadchodzi „Nowy", więc trzeba go godnie przyjąć.

To: „godnie przyjąć" każdy rozumiał na swój sposób: sklepy iluminowały wystawy, radio „wzbogacało" program, panie ondulowały włosy, wkładały najpiękniejsze tualety, a panowie, ubrani we fraki i smokingi, nerwowo oczekiwali tej godziny, o której mieli swe sylwestrowe randes-vous.

Gorączka... Nerwy... Kaprysy...

Tysiące złotych poszło na „spotkanie" Nowego Roku.

Przyjemność trwała krótko, a właśnie za tę chwilę płaciło się..

Wielu bawiło się, nie myśląc, że oprócz nich są inni ludzie, że nie wszystkim jest tak dobrze jak im, że właśnie ci ludzie nie mają nie tylko pieniędzy, ale chleba nawet, opału, bielizny. Zima już przecież zaglądała.

Gdyby tylko część pieniędzy przeznaczonych na zabawę dano na pomoc zimową bezrobotnym, to napewno czyn ten przyniósłby więcej zadowolenia, bo wówczas nie tysiące, ale miliony cieszyłyby się.

Tyle ludzi jest głodnych. Tyle ludzi wyciąga rękę po suchy kęs chleba, gdy inni bawią się, piją szampana, likiery, wina zagraniczne.

A czyż mało jest takich, którzy dają wprawdzie coś na pomoc, ale robią to z... musu, z fałszywej ambicji. Bo jakby wyglądał pan Y, gdyby żałował na te cele, a pan X ze szczerego serca dał, bo widział potrzebę tego. I musi dorównać X-owi... głupia, fałszywa ambicja.

Dzisiaj Sylwester już przebrzmiał, ale bieda nie przeminęła...

*
* *

Temat może dla nas, dzisiaj zwłaszcza nieodpowiedni, bo przecież nic dać nie możemy. Ale za lat kilka, gdy wejdziemy w życie, temat ten i dla nas stanie się aktualnym.

I wówczas, gdy na własnych staniemy nogach nie mamy prawa zapominać o innych, nie mamy prawa poprzestać na otrzymaniu posady—naszym obowiązkiem, obowiązkiem świętym, będzie niesienie pomocy biednym.

Zdanowicz Roland. k. II leśny.

ZIMA.

Już nadeszła zima groźna,
Strasznie zimna, strasznie mroźna.
Ludzie w piecach rozpalają
I kożuchy odziewają.

Dobrze temu, co ma buty,
Własny domek i dostatki,
Temu nie jest straszny luty,
Tego są wesołe dziatki.

Lecz jest dużo biednych ludzi,
Co nie mają własnej chaty,
Chłopcy ich są bladzi, chudzi,
Na łachmanach świecą łaty.

Więc pośpieszmy im z pomocą
Niech nie giną marnie z głodu
Myślmy o nich dniem i nocą
Zabezpieczmy ich od chłodu.

J. Lamus. kl. IIb.

PIERWSZE OGÓLNOSZKOLNE IGRZYSKA ZIMOWE W KRZEMIEŃCU

Plakaty głoszące pierwsze ogólno-wołyńskie igrzyska zimowe ukazały się bardzo wcześnie. Jeszcze nie ma śniegu i mrozu, ale wszyscy juś układają plany na przyszłość.

Zwycięstwa, porażki, wszystko możliwe.

Zwycięstwo w narciarstwie możliwe, saneczki też dość pewne, ale co pokaże łyżwiarstwo, co hokej? Niewiadomo. Plany zostały pokrzyżowane, gdyż „dwójarze" nie mogą brać udziału w zawodach.

Na dobitkę ilość uczestników jest ograniczona (8 dziewczynek i 15 chłopców).

W końcu skład się jakoś ustalił, chociaż brakowało kilku czołowych łyżwiarzy. (mieli dwójki). Wreszcie sobota,—losowanie hokejowe, które wyłoniło następujące grupy hokejowe (losowanie dla nas b. szczęśliwe), I Liceum—kombinowana drużyna z Łucka (Szkoła handlowa, gimnazjum prywatne, gimnazjum rosyjskie). poza konkursem.

II. Duchowne Seminarium Krzemieniec—Państwowe Gimnazjum Kowel.

III. Państwowe Gimnazjum Dubno—Państwowe Gimnazjum Łuck.

IV. Miernicza szkoła z Kowla—Państwowe Gimnazjum Równe.

Wszystko więc gotowe, mamy już sobotę, jutro rozpoczynamy olimpiadę, a tu sypie śnieg. Zawieja, mróz—wszystko jak na złość. Chodziły nawet pogłoski o przesunięciu terminu olimpiady, ale każdy się pocieszał, że jutro musi przecież być lepiej. Tak się też stało. Niedziela—pogoda, słonecznie, jasno, tylko zbyt mroźno, ale to głupstwo. Po defiladzie, która miało charakter bardzo uroczysty—pierwsza kombinacja: bieg na 12 km. Obsada silna—aby tylko czegoś przypadkowego nie było. Stefan pewny, Jasiek też dobry, „Pilniś" też się nie da.

Nadzieje nie zawiodły. Istotnie Stefan był pierwszym, trzecim z kolei Krzechlik, a kilka sekund po nim—Stebelski. Zespołowo mamy zwycięstwo—to grunt, to bodziec i zachęta do innych kombinacyj. Zawodnicy na 9 km. też sobie dużo obiecują.

Nadszedł pierwszy wieczór i ten nasz pierwszy niefortunny mecz (poza konkursem). Na wygranej specjalnie nam nie zależało, to też próbowaliśmy przeciwnika na wszystkie strony i stara-

liśmy poznać taktykę. Mecz kończy się mimo wszystko nieco za wysokim wynikiem 9:0 dla Łucka.

Czołem Łuck! Schodzimy z lodowiska, pocieszając się myślą, że przecież mecz ten nie ma dla nas znaczenia w dalszych rozgrywkach. Poznaliśmy sposób szybkiej walki, co w przyszłym spotkaniu dużo nam pomoże. Następnym naszym przeciwnikiem miało być Dubno, Państwowe Gimnazjum.

Półfinał rozpoczyna znowu Liceum. Publiczności sporo, każdy chce zobaczyć półfinałowe rozgrywki.

Z początku nic groźnego, atak przenosi się to w jedną, to w drugą stronę. Jednakże Dubno zaczyna miewać sytuacje groźne; wynik brzmiał przez dwie tercje 0:0. Bodźcem do zaciętej walki była publiczność, która nas przez cały czas okrzykami zachęcała do ataków. Każdemu naszemu przebojowi towarzyszył „ryk„ publiczności. Jednakże dopiero w trzeciej tercji dał się słyszeć przeraźliwy okrzyk i głośny tupot nóg, gdy Mietek przebiwszy się przez linię obrony, ładnym strzałem lokuje krążek w bramce. Krzyki trwały już do skończenia meczu bez ustanku.

Trzykrotne czołem na cześć Dubna i zwycięsko? schodzimy z lodowiska.

Jesteśmy w jak najlepszym humorze, zaznajamiamy się z graczami. Bardzo są mili i sympatyczni. Dubno uznaje nasze zwycięstwo, motywując je jedynie szczęściem (gra była równorzędna). Mamy więc napewno drugie miejsce, bo o zwycięstwie z Szkołą Mierniczą z Kowla mowy być nie może. Mecz finałowy przegraliśmy w stosunku o wiele mniejszym, aniżeli pierwszy nasz mecz, bo tylko 3:0.

Turniej hokejowy zakończył się zwycięstwem Szkoły Mierniczej w Kowlu zupełnie zasłużenie.

Rozgrywki hokejowe udały się, o czym może świadczyć nastrój zawodników, którzy wyjechali w jak najlepszym humorze.

Jeżeli chodzi o bieg narciarski dla chłopców 9 km, to tu prześladował nas pech, gdyż każdemu z zawodników coś się stało: jeden złamał nartę, drugiemu pękło wiązanie. Mimo wypadków zajęli oni 3 miejsce.

Biegi dziewczynek, zespołowe przyniosły nam dwa pierwsze miejsca.

Saneczki chłopców i dziewcząt wypadły nieco gorzej:

Dziewczynki miały 3 miejsce, chłopcy jeszcze dalsze.

Bardzo miłą imprezą była wielka rewia w sali Teatralnej.

Pomysłem trafnym i harmonizującym z ideą zawodów była

także zabawa. Miała ona nie tylko za zadanie uprzyjemnić gościom naszym pobyt w Krzemieńcu, ale także umożliwić spędzenie kilku godzin wszystkim zawodnikom wspólnie tak, by mogli porozmawiać spokojnie, dowiadując się czegoś ciekawego z życia innych szkół na Wołyniu. Zabawa upłynęła bardzo przyjemnie; w miłym towarzystwie każdy spędził te dwie godziny wśród ludzi obcych, ale tak przychylnych, że nie spostrzegł się kiedy nadszedł koniec.

Zawody spełniły swoje zadanie prawie w 100% i to pod każdym względem, o czym świadczył przedewszystkiem doskonały humor zawodników. Igrzyska te mają miły charakter, gdyż nie chodzi tu tylko o same wyniki sportowe, ale także o poziom w nauce i odpowiedni stosunek do szkoły i sportu.

W celu szerzenia sportu należałoby je urządzać jak najczęściej Czy nie możnaby urządzać ich częściej niż co trzy lata, bo w takim razie rzadko który zawodnik mógłby w nich brać udział dwukrotnie. Mam nadzieję, że wszyscy uczniowie są mojego zdania.

M. S. kl. VI b.

SKOCZEK NARCIARSKI.

Ruszył skoczek z miejsca startu
Na swych nartach pochylony,
Wzrok skierował na próg skoczni
I uczynił ruch zdwojony.

Krew gorąca tętni w skroniach,
Naprężony przysiadł więcej
I już skoczył—zawisł w górze,
Rozpostarłszy swoje ręce.

Wiatr podwiewał jego postać.
Która ptakiem się zdawała
Szarpał spodnie trzepał nimi
Cała odzież furkotała.

Leciał jakby w nieskończoność,
Niby w bajce – między chmury.
Wreszcie spadł – i pobił rekord,
Bez upadka zjechał z góry.

B. Stelmach.
Szkoła Rolnicza w Białokr. kurs I.

PO PÓŁROCZU.

W pociągu przedzierającym się przez śnieżną zamieć ze Lwowa do Krzemieńca jechało dwóch chłopców. Chociaż byli kolegami z ławy szkolnej, rozmawiali jednak między sobą bardzo mało. Jeden z nich włóczył się po wagonie. drugi zaś siedział smutny i zamyślony. Ten pierwszy był bardzo wesoły, drugi natomiast bardzo smutny. Przyczynę tych różnych nastrojów obu kolegów nie ciężko odgadnąć... Był to koniec grudnia i chłopcy jechali na zimowe ferie. Łatwo było odczytać z ich twarzy, co który wiózł ze sobą do domu.

Ów wesoły był brunetem, zaś smutny blondynem.

Brunet miał dobre świadectwo, a blondyn złe.

Świadectwo bruneta wyglądało jednym koniuszkiem z górnej kieszeni mundurka, blondyn natomiast schował swoje głęboko w wewnętrznej kieszeni i dotykał go co chwila. Widać, że się bał, by czasem nie wyskoczyło z pod kurtki i nie zdradziło wszystkim obecnym tajemnicy, którą zawierało.

Tak przejechali kilka stacyj. W Brodach wysiadło wiele osób i w wagonie było dużo wolnych miejsc.

Korzystając z tego usiadł obok chłopców jakiś starszy pan, który jechał do Dubna i zaczął mimowoli przysłuchiwać się rozmowie chłopców.

Z początku mówili szeptem, a później coraz głośniej. Brunet coś twierdził, zaś blondyn zaprzeczał..,

— Z historii—wrzasnął naraz brunet ze złością.

— A właśnie, że nie!—odparł mu blondyn.

— Nie prawda! Chcesz mnie nabrać!

Pan zaciekawił się ich kłótnią i spytał.

— O co właściwie wam chodzi?

— Proszę pana—rozpoczął brunet do nieznajomego pana—on ma trzy dwóje, a mówi, że tylko dwie...

— Naprawdę?

— Słowo honoru! Ma je w kieszeni.

— Ciekaw jestem z jakich przedmiotów?

— Z niemca, łaciny i historii, proszę pana!

— Nie! zaprzeczył blondyn—ja zawsze umiałem historię.

— Nie nabieraj ludzi! Tyś nawet na ostatniej lekcji nie umiałeś wyliczyć wszystkich królów, dostałeś wtedy taką „lufę" jak bas! Pan profesor podkreślił ją w notesie dwa razy!

W wagonie robiło się coraz gorącej.

— Stara historia—pomyślał pan.

ich, kilkanaście.

Stawiamy więc sobie jak gdyby dwa cele: pierwszy—dopomóc młodzieży chłopskiej do wejścia w dorobek kulturalny wsi polskiej, narodu i ludzkości; drugi—ułatwić jej określenie sobie roli w życiu i jak najbardziej czynnie do tego życia ją ustawić. Inaczej mówiąc: dopomagamy kształtowaniu się człowieka żywego, związanego mocno z dorobkiem kulturalnym własnego środowiska i własnego narodu oraz gotowego do podjęcia każdego twórczego działania, mającego na celu dobro gromady i Państwa.

Dlatego program nasz dzieli się na dwie części: jedna ukazuje ogrom dorobku ogólnoludzkiego i rolę w tym własnego narodu i państwa, i druga—określa na tle otaczającego nas życia rolę, obowiązki i zadania współczesnego człowieka wsi, odpowiedzialnego za swe postępowanie wobec przeszłości i przyszłości.."

J. Wolenkówna kl VIII.

Tłoczono w drukarni W. Cu ka w Krzemieńcu.

Opiekun pisma: K. H. Groszyński.

Wydawca: Zjednoczenie Młodzieży Liceum Krzem.

Główny komitet redakcyjny: I. Wolenkówna, R. Janiszewska, F. Łańcucki, R. Stachórski, P. Hall.

Komitet redakcyjny Szkoły Rolniczej w Białokrynicy: Zdanowicz Roland, Baran Piotr, Pogoda Edward.

Komitet redakcyjny Szkoły Rzemieślniczej w Wiśniowcu Jaworski J. kl. III, Niedźwiecki L. kl. I.

Za komitet redakcyjny: *I. Wolenkówna.*

Administracja: A. Gargoliński, W. Steciuk.

Adres redakcji i administracji: Krzemieniec, Liceum „Nasz Widnokrąg“.

Cena prenumeraty: Rocznie 1.60 zł., z przesyłką pocztową 2. zł. Cena pojedynczego numeru 20 gr. z przesyłką pocztową 25 gr.